Nr 3. We Lwowie. 1 marca 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Imponujący Zjazd Delegatów M. T. Ł.

Dnia 2 lutego b. r. odbyło się zebranie Delegatów M. T. Ł., zwołane przez Wydział dla omówienia kilku aktualnych spraw pierwszorzędnej doniosłości. Do spraw tych należały przedewszystkiem trudności finansowe, w jakich znalazło się Towarzystwo, z powodu coraz bardziej rosnących zaległości wkładkowych. Zaległości te nie dawały się wytłumaczyć tylko przesileniem gospodarczem. Powszechnie bowiem jest wiadomem, że równie ujemnym, jak przesilenie, czynnikiem, jest jego następstwo w postaci apatji ogarniającej coraz szersze koła społeczeństwa.

Wychodząc z tego założenia, Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego postanowił porozumieć się z Delegatami i wypróbowanymi Przyjaciółmi Towarzystwa, celem znalezienia środków zaradczych do walki już nie tyle z trudnościami finansowemi, jak z tą właśnie obojętnością.

Wydział nie mógł dłużej bez uciekania się do ogółu myśliwych patrzeć na rosnące zaległości i deficyty i przeciągać fałszywej sytuacji, w jakiej znalazł się także i w stosunku do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Jak słusznem było przypuszczenie, że apel Wydziału, stojącego na straży spraw Towarzystwa, nie przebrzmi bez echa, dowiodło nadzwyczajne wprost powodzenie Zjazdu, na który przybyli Delegaci tłumnie z całego kraju, a nawet z najdalszych jego zakątków. Ale nietylko ilością uczestników, lecz i powagą odbytych narad, Zjazd ten wybił się na czoło wszelkich zgromadzeń z lat ostatnich.

Jednym z najdonioślejszych wyników zebrania było postanowienie zorganizowania we wszystkich powiatach KOLEGJÓW DELEGACKICH, które będą pozostawały odtąd w silniejszym kontakcie z Wydziałem Towarzystwa z jednej, a z Członkami w powiecie zamieszkałymi z drugiej strony.

Prace około zrealizowania tej zasadniczej uchwały i szeregu innych, zostały rozpoczęte.

WYDZIAŁ M. T. Ł.

WITOŁD ZIEMBICKI

MYSLIŚTWO A MUZYKA

I.

SŁOWO WSTĘPNE

wygłoszone w czasie audycji pod tytułem „P o l s k a p i e ś ń m y-ś l i w s k a", nadanej przez P o l s k i e r a d j o ze Lwowa na wszystkie rozgłośnie, dnia 1 lutego 1935*).

Na wstępie dzisiejszej audycji należy się parę słów m u z y c e m y ś l i w s k i e j wogólności. Muzyka myśliwska bowiem, to nietylko p i e ś ń. W szerokiem słowa znaczeniu obejmuje ona dwa działy, zasadniczo odmienne. Pierwszy z nich, — to znaki myśliwskie, dawane zapomocą rogu, trąby lub trąbki. Są one odwieczne, jak samo myślistwo. Człowiek, polujący dla zdobycia żywności, odzieży, potem dla rozrywki rycerskiej, o której to mówił O s t r o r ó g, że „czasu pokoju ludzie wojenne w pracach, do wojny należących zachowywa i zalęgać im się nie da", — musiał mieć sposób porozumiewania się z towarzyszami w głębokiej puszczy. Sposobem tym był zew myśliwski, wydobywany z instrumentu dętego. Znaczenie miał on najrozmaitsze. Była to — rzec można — odmiana łowieckiej mowy. Zapomocą rogu rzucało się hasło obławie, zwoływało drużynę, otwierało i kończyło łowy. Ale nietylko ludzie z ludźmi porozumiewali się w ten sposób. Głos trąbki myśliwskiej rozumiany był doskonale przez psy myśliwskie, do łowów zaprawione. Była to więc nauka i sztuka zarazem, o której dziś slabe tylko możemy mieć wyobrażenie. Staramy się przecież zrozumieć słowa starej piosnki:

„Otrąb się na psy, daj im odprawę,
Bo jeszcze słychać Lutnię i Wrzawę.
Trąb pojezdnego!"

„Odprawa" — to smaczny kąsek, rzucony psom w nagrodę za trudy. „Podjezdne" — to sygnał końcowy. „Lutnia" i „Wrzawa" — imiona ogarów. Wszakże i głos ich w gwarze łowieckiej nazywał się g r a n i e m. Zlaja ogarów, grająca w kniei, — to była najmilsza dla myśliwskiego ucha kapela. Dojeżdżacz, panujący nad nią głosem trąbki, — jej prawdziwym kapelmistrzem. Oto jak Leopold S t a r z e ń s k i opisuje zgon odyńca:

„Już głos drugi, trzeci, czwarty,
Kwintet, sekstet, — ba! chór cały!
To ogary rwą jak czarty!
Już z barłogu go wygnały!
Jakaż cudna to muzyka —
Czyżby Mozart taką stworzył?
Złóż tu strzelca nieboszczyka,
A z pewnością wnetby ożył...
— — — — — — — —
Król na martwem legł posłaniu,
Kłami klasnął, nozdrzem świsnął,
Młodą brzózkę ściął w skonaniu...
I drużyna nasza cała
Przyszła. T r ą b k i w c h ó r z a g r a ł y,
Psiarnia wyciem zaśpiewała —
I to króla pogrzeb cały..."

Gdy gdzieindziej, np. we Francji, przechowały się o sposobach trąbienia myśliwskiego pomniki pisane, sięgające czternastego stulecia, wyobrażone nawet w znakach muzycznych, u nas niestety pozostały tylko nieliczne fragmenty drukowanych i rękopiśmiennych pouczeń o tej sztuce i o samym instrumencie. Nikomu nie przychodziło niegdyś na myśl utrwalić rzeczy, powszechnie znane. Wspomniany O s t r o r ó g w swym słynnym traktacie: „Myślistwo z ogary" podnosi wprawdzie z naciskiem, że „jeśli na czem w myślistwie zależy, to na trąbieniu" i opisuje sposób dawania niektórych sygnałów, polegający na „przebieraniu" w oktawie, ale pomija t. zw. pospolite odgłosy, o których, jak mówi, wszyscy wiedzą.

Do zapomnianych prawie doszczętnie należą dziś pobudki i hasła, przywiązane do pewnych gatunków zwierzyny. A przecież jeszcze nie tak znowu dawno były one w użyciu. Żył w połowie zeszłego stulecia, pod Łopatynem w Małopolsce, szlachcic nazwiskiem Bydłowski, stary myśliwy. Dożył podobno lat 125-ciu. Gdy wreszcie umarł, nie chciano wierzyć, aby to było możliwe. Najstarszy syn chwycił róg myśliwski i zadął pobudkę, zwiastującą wilka. Stary nie poruszył się na posłaniu... Był to znak niechybny, że nie żyje.

Wraz z radykalną zmianą warunków łowieckich i sposobów polowania, musiały jednak zniknąć dawne zwyczaje, jako zbyteczne. Gdzieś-niegdzieś jeszcze, na wielkich obszarach leśnych, w niektórych dobrach radziwiłłowskich, przechowała się, choć częściowo, tradycja rogu myśliwskiego, zachowały się niektóre fanfary na otrąbienie pokotu. Słynny zaś typ tamtejszego t r ę b a c z a uwiecznił arcymalarz myślistwa polskiego, Juljan F a l a t. I literatura piękna niejednokrotnie wraca do tego tematu. A wśród niej jaśnieje arcydzieło, wynoszące do zenitu te możliwości, jakie drzemały w rogu myśliwskim. To k o n c e r t W o j s k i e g o.

—o—

Zupełnie czem innem od owej muzyki, ściśle m y ś l i w s k i e j, bo do wykonywania myślistwa należącej, jest muzyka, obejmująca p i e ś n i m y ś l i w s k i e i wszelkie inne utwory muzyczne, poświęcone myślistwu jako t e m a t o w i. Jedne z nich, to znane od wieków zabytki anonimowe. Inne, — to nowoczesne kompozycje, o znanem nazwisku autora, nieraz bardzo znamienitego.

Pieśń zabytkową zaliczamy do ludowej. Brak nam wprawdzie muzykologicznego i historycznego opracowa-

*) Pieśni odśpiewał chór Korpusu Kadetów Nr. I. im. Marszałka Piłsudskiego we Lwowie, pod kierownictwem prof. M. Krzyńskiego, ze współudziałem artysty operowego J. Romanowskiego; część instrumentalną wykonała orkiestra 40 p. p. pod batutą kapelmistrza por. W. Jurkiewicza; objaśnienia do poszczególnych punktów programu wygłosili: prof. R. Wacek i artysta dramatyczny T. Akrzyński.

nia tego działu, ale wiemy, że na wielkim obszarze ziem naszych powstały liczne odmiany regjonalne pieśni, mającej nieraz wspólne pochodzenie pierwotne, możemy się też domyślać powinowactwa niektórych polskich pieśni myśliwskich z pieśnią pokrewną narodów innych, zwłaszcza słowiańskich.

Dzięki kilku pracowitym zbieraczom posiadamy pokaźny inwentarz drukowanych pieśni myśliwskich w wydawnictwach, poświęconych pieśni ludowej. Do takich należy zbiór małopolskich pieśni Wacława z Oleska wraz z tekstem muzycznym układu Lipińskiego, zbiór Juljusza Rogera, obejmujący pieśni ludu górnośląskiego i inne podobne, a z nowszych, zbiór pieśni śląskich Gawlasa, zbiór wielkopolski Wiechowicza, zbiór warmijski Nowowiejskiego i wiele innych, przynoszących zawsze jakąś zabytkową pieśń myśliwską, wreszcie mnóstwo tak oryginalnych, jak przerabianych pieśni, rozproszonych w najrozmaitszych wydawnictwach, w śpiewnikach, w pismach perjodycznych, literackich, muzycznych, ludoznawczych. Jak zaś wielkie mamy bogactwo tego rodzaju pieśni, dowodzi choćby wspomniany zbiór Rogera, w którym samych myśliwskich pieśni figuruje ośmnaście. Przyszły bibljograf polskiej pieśni myśliwskiej mozolne więc, ale wdzięczne będzie miał zadanie.

Co do nowszej twórczości, ma ona zawsze jeszcze otwarte przed sobą pole. Wszakże temat żyje. Myślistwo, jak długo będzie istniało, nie przestanie być jednem z ulubionych źródeł natchnienia dla pieśniarzy i muzyków, podobnie, jak było i jest niem dla malarzy, rzeźbiarzy, poetów i beletrystów. Składa się na to tkwiący w niem, i nieśmiertelny, pierwiastek bohaterski, niemniej jak inne, z myślistwem skojarzone czynniki, przedewszystkiem przyrodniczo-deskryptywny i erotyczny. Jeden i drugi czerpie motywy z codziennych przeżyć myśliwca, obcującego z przyrodą, wrażliwego na jej piękno, pochopnego też do przygód miłosnych, ku czemu zawód myśliwski niejednej nastręcza sposobności. Jakże prawdziwie ujmuje to Bartels, gawędząc przy ognisku myśliwskiem:

„I poszły zatem opowiadania
I odpowiedzi i zapytania
I koncepciki i żarty śliskie
I ukochane łgarstwa myśliwskie
I wypuszczone jak od niechcenia
Jakieś miłosne różne zwierzenia
O pannie Zofji, o pannie Kasi,
O jakiejś Rózi, jakiejś Joasi..."

Często-gęsto moment myśliwski miesza się w jednej pieśni z momentem miłosnym, czego przykład mamy w jednej z najstarszych pieśni myśliwskich: „Pojedziemy na łów...", której zwrotki o Sobolu i Pannie, dostarczyły Weyssenhoffowi tytułu do znanej jego powieści. Podobne połączenie tematów wykazuje inna stara, znana w różnych warjantach, pieśń o myśliwcu, którego niepowodzenia łowieckie wynagrodzone zostały spotkaniem pięknej dziewczyny. Nie brak też i pierwiastków satyrycznych. Spotykamy je w bardzo starej i popularnej pieśni o Zajączku, który siedząc pod miedzą, pokpiwa sobie z szukających go myśliwych.

W ograniczonych ramach jednej audycji niepodobna przedstawić różnorodnych typów naszej twórczości w tym zakresie. Wszakże zasięg jej wkracza nawet w dziedzinę opery. Obok licznych partyj operowych na tematy myśliwskie takich kompozytorów jak Moniuszko, jak Żeleński, mamy całe t. zw. opery myśliwskie, jak „Leśniczy z kozienickiej puszczy" z muzyką Kurpińskiego, albo komedjo-opera Brunona Kicińskiego pod tytułem: „Myśliwy czyli dwoje oczu za jedno".

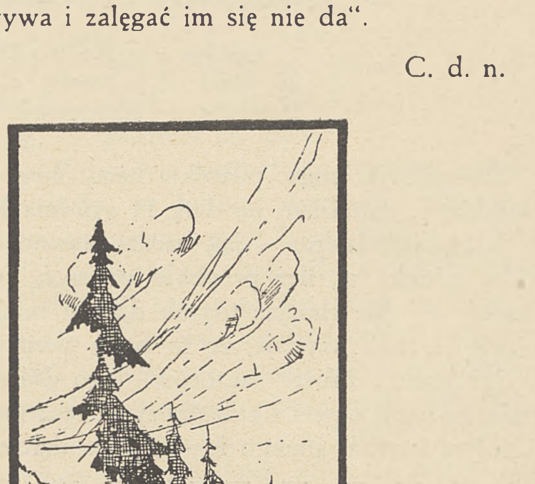
Dodajmy do tego liczne utwory instrumentalne, jak np. Wrońskiego „Marsz myśliwski" na fortepian, a pojmiemy, że dorobek polski w dziedzinie muzyki, poświęconej myślistwu, jest bogaty i wszechstronny.

Nie trzeba wkońcu zapominać, że ponadto posiadamy ogromną ilość pieśni myśliwskich, z których zachował się jedynie tekst słowny, gdy muzyczny zaginął, — a wreszcie i takich utworów poetyckich, które pod nazwą „pieśni" tworzone były bez muzyki. Niemal w każdym z niezliczonych zbiorów pieśni ludowych, wydanych bez muzyki, — czy to będzie Żegota Pauli ze swemi pieśniami ludu małopolskiego, czy, dajmy na to, Czeczott z „Piosnkami wieśniaczemi z nad Dźwiny", czy inni podobni, — znajdziemy jakiś przyczynek do skarbca pieśni myśliwskiej.

Wzorem poetyckiej pieśni myśliwskiej będzie zawsze „Chór strzelców" Mickiewicza. Towarzyszy mu zwykle melodja „Chóru myśliwskiego" z opery „Wolny strzelec" Webera, bo, jak wiadomo, powstanie jego łączy się genetycznie z tą operą. Ale mamy i inną, własną muzykę do mickiewiczowskiego „Chóru".

Myśl urządzenia dzisiejszej audycji trzeba nazwać szczęśliwą i pożyteczną, jak wszystko, co ze starej tradycji przypomina momenty krzepiące, co odświeża w nas świadomość stanu posiadania w dziedzinie kultury, co pobudza do nowego tworzenia. Właściwości te posiada w wysokim stopniu każda pieśń rodzima, posiada ją w niemałym stopniu pieśń myśliwska. Będzie ona dziś miała nielada wykonawców! Za chwilę popłynie z piersi młodych rycerzyków, jak niegdyś szła z piersi drużyn łowieckich wśród rycerskiej zabawy myśliwskiej, „co czasu pokoju ludzie wojenne w pracach, do wojny należących zachowywa i zalęgać im się nie da".

C. d. n.



MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

„Mykita"

Urodził się we wspaniałej, wygodnej jamie, na skraju lasu. Z pośród całego miotu, był największy, najsilniejszy.

Kiedy matka wracała z polowania, on pierwszy dobierał się z cichem skomleniem i piskiem do napuchłych wymion. Roztrącał swych braci i siostry, byle tylko sam miał mleka poddostatkiem.

Wreszcie, gdy się już ząbki tak wyostrzyły, że zaczęły ranić wymiona, matka zaczęła przynosić małym różne przysmaki, jak: myszy upolowane, gąski i kaczki, wykradzione z pobliskich chałup, czasem młody zajączek zmieniał menu lisiego stołu.

A co było wrzasku, kiedy matka niosąc w pysku upolowaną zwierzynę, przybyła przed jamę!

Z nieudatnem szczekaniem rzucała się lisia gromadka na żer, lecz Mykita zawsze najlepsze kąski dostawał; dopiero gdy brzuszek jego był napchany, że wlókł się wprost po ziemi, pozwalał najeść się swym braciom, a sam zwinąwszy się w kłębek, wygrzewał się na słońcu.

Czasem, gdy mysz, przybyła w pysku matki jeszcze żywa, wówczas bawił się nią; to puszczał, to znów chwytał w swe ostre ząbki, by ją z powrotem puścić.

Nieraz mu uciekła, wówczas siadał zadumany przy wejściu do jamy, i zastanawiał się nad dzisiejszem niepowodzeniem, którego przyczyny dociec nie mógł.

Pewnego jednak razu matka nie przyszła. Długo skamlały młode liski, wołając matkę. Niestety, nie wiedziały one, że matka polując za żerem dla swych małych, padła od śrutów, wałęsającego się, znanego w całej okolicy kłusownika.

Mykita czuł przez całą noc przejmujący głód we wnętrznościach.

Nad ranem, mgły rozpościerały się nad całym światem, gdy rosy perliły się drogiemi kamieniami na liściach traw. Mykita wyszedł przed jamę, rozglądając się za jakiemś pożywieniem.

Wczoraj wieczór jeszcze obgryzł dokładnie wszystkie kostki, walające się koło jamy; dziś nic nie było.

Postanowił zaryzykować i ruszył sam na polowanie, zostawiając w jamie swoje rodzeństwo.

Las otulony tumanami mgły drzemał jeszcze, czasem tylko szyszka z sosny spadła, wywołując uczucie strachu w niedowierzającym Mykicie.

Szedł, skradając się, obwąchując niemal wszystko, co spotkał po drodze.

Mysz przebiegła mu drogę; rzucił się na nią, lecz mu umknęła. Siadł i swoim zwyczajem zadumał się.

Wtem opodal coś zaszeleściło.

Skurczył się cały, wtulił pomiędzy trawy i krzaki, niewidoczny, czatował po raz pierwszy w życiu.

Wtem zwinna wiewiórka wyskoczyła z za drzewa i szukając szyszek, w podskokach, zbliżała się do niego.

Cały natężył się, wzrok stał się, aż mglisty od zapatrzenia i gdy wiewiórka była już tuż koło niego, skoczył. Krótka walka; parę prychnięć wiewiórki i już taszczył Mykita swą pierwszą zdobycz pod krzak jałowca, gdzie następnie całą ją spożył.

Wreszcie znużony wyczekiwaniem i emocją, zmęczony poprzednim głodem, zasnął.

Kiedy się obudził, słońce już potężnie grzało. Poczuł pragnienie.

Szedł długi czas, aż przybył nad wody strumienia. Tu zobaczył siebie w lustrzanej tafli potoku. W pierwszej chwili był pewny, że ma przed sobą drugiego lisa, lecz wkrótce się przekonał, że widzi tylko swoją odbitkę w wodzie. W wodzie tej zobaczył się poraz pierwszy; a było się czemu przypatrywać. Wspaniale rozwinięty, futro połyskujące, rude, spód jak śnieg biały, puszysty

---

STANISŁAW KORWIN-MILEWSKI

Z pożółkłych kart

Cieniom ś. p. Marjana Jędrzejowicza i jego córki ś. p. Anny z Jędrzejowiczów Dąmbskiej — poświęcam.

Przeglądając stare, pożółkłe karty mego dziennika łowieckiego, natrafiłem na datę 11 grudnia 1909 roku.

Jak to już dawno — jak bardzo dawno — ileż od tego roku minęło lat, ileż przybyło przeżyć, przygód, wspomnień. — Ale chociaż to tak dawno minęło, to jednak ciągle się nam wydaje, że to było wczoraj. Pamiętamy wciąż jeszcze dobrze „aktorów" tego dnia, — przypominają się nam nawet najdrobniejsze szczegóły, dzięki pożółkłym kartom starego łowieckiego dziennika.

— — — — — — — — — — — — — —

Dnia 11 grudnia 1909 roku, odbyło się kniejowe polowanie w rewirze Rudna, w którym prawo polowania należało do mnie. — Byłem wtedy młodym akademikiem, swobodnym i wesołym, słowem „słońce" nosiłem w duszy i fantazję ogromną w sercu. — W cukierni Sotschka przy ulicy Karola Ludwika we Lwowie, (bo tak się wtedy nazywała cukiernia Dudka przy ul. Legjonów) spotkałem w południe jednego z moich kolegów i ten mi doradził, bym w Rudnej „zrobił" polowanie. — Decyzja dodatnia bezzwłocznie zapadła, a po południu szły już telegraficzne zaproszenia do myśliwych i instrukcje do leśniczego ś. p. Aleksandra Karczyńskiego.

Na drugi dzień rano kupowało się wino w Kasynie Narodowem i załatwiało sprawunki gastronomiczne u jakiegoś Musiałowicza, Stadtmüllera, czy innego Szkowrona, wpadło się jeszcze do Dzikowskiego po doskonałe „Wöllersdorfy", uścisnęło tam rękę ś. p. pana Tabaczkowskiego, który mi oczywiście poważne złożył życzenia: „Weidmansheil" — i już się było gotowym do drogi.

Po obiedzie przy czarnej kawie, ś. p. Ojciec mój dał mi przy serdecznem pożegnaniu grubszy, a tak pożądany przezemnie banknocik c. k. Austryacko-Węgierskiego Banku, a ś. p. Babka moja, najzacniejsza i nieodżałowana, dodała mi od siebie po cichu wraz z błogosławieństwem na drogę, trochę brzęczącej waluty.

Wieczorem siedziałem już z papierosem „w twarzy"

ogon, zdobił tę urodziwą i przemyślną latorośl rodzaju lisiego.

Pod wieczór upolował jeszcze parę myszy; jakoś mu się dziś, jak na pierwsze polowanie, dobrze wiodło; polował już z całym stoicyzmem, byle tylko nie być głodnym.

Wreszcie gdy już mrok zaczął ziemię brać pod swe panowanie, Mykita męczony długiem błądzeniem za swą jamą, której nie znalazł, zwinąwszy się w kłębek, usnął na posłaniu z mchów i traw.

I tak płynęło mu życie, spokojne, twarde z dnia na dzień.

Z dniem każdym nabierał coraz więcej siły, coraz więcej uczył się cierpliwości w polowaniu, coraz więcej zdobywał doświadczeń, stawał się coraz bardziej chytrzejszym, roztropniejszym i przebieglejszym.

I tak szło, aż pewnego dnia, gdy kopanie kartofli było już w całej pełni, kiedy przejmujący chłód dobierał się nawet poprzez gęste futro do lisiej skóry, kiedy dniami całemi niebo otwarłszy swe tamy, lało strugi wody, Mykita sznurował sobie wolno przez las. — Jak zwykle szukał polnych myszy.

Wtem twór jakiś, dziwny, wysoki, na dwóch nogach, ukazał się biednemu liskowi.

Po raz pierwszy w swem życiu zobaczył podobne monstrum.

Ale kiedy przerażający huk, odbił się tysiącznem echem od ściany boru, Mykita poczuł dziwnie palący ból w swym zadzie.

Zwinął jednak ogon pod siebie i co miał siły, zaczął uciekać. Dopadł wreszcie zziajany, zmęczony, obolały, jakiejś jamy.

Na szczęście zastał ją pustą.

Zaczął lizać swe rany i to mu ulgę przyniosło. Noc całą przeleżał tak, wreszcie nad ranem, głodem dręczony, wyszedł na polowanie. Wolno ciągnął myszkując wszędzie. Parę myszy, dwie sikorki, cóż to znaczy dla apetytu takiego, jaki dziś Mykita odczuwał.

Ale bał się iść w pole, dziś nie miał siły uciekać.

To też głodny położył się znowu w jamie, skąd wychodził tylko, by zaspokoić pierwszy głód.

Tak było przez tydzień, wreszcie gdy rany się zagoiły, mógł swe wędrówki dalej prowadzić, mógł znowu polować na szybkonogie zające.

Pierwszego dnia, ziemia okryła się białym całunem. Aż oczy mrużył Mykita od bieli połyskującego śniegu.

Lecz razem ze śniegiem nastały złe czasy dla naszego lisa. Coraz trudniej było o pożywienie, a coraz częściej owo pokraczne indywiduum, człowiek, urządzało jakieś hałasy, pochody po lesie. Już parę razy słyszał Mykita strzał i czuł śruciny, zawsze jednak zdołał z życiem wynieść się z piekła huczących strzałów.

Gdy na świecie miało się ku wiośnie, poczuł Mykita brak towarzyszki. Długo błądził po lesie. Szukał samki. Inne lisy witały go warczeniem, czasem pogryzły go, a on niesiony na skrzydłach amora, czuł w sobie ten potężny wiew przyrody, zew odmiennej płci.

Aż po długich szukaniach, doleciał go zapach lisicy, z umieszczonego opodal otworu wchodowego jamy.

Ociągając się, jakby napawał tą upragnioną wonią, wbiegł do jamy, gdzie wspaniała lisica, czekała go z utęsknieniem.

Z początku nie dała do siebie przystąpić, ot tak dla zabawy, zwyczajnie, jak płeć piękna wogóle, potem jednak cóż za uciecha była. Harce i gonitwy odbywały się dniami całemi po jamie.

Mykita opuszczał swą towarzyszkę tylko wtedy, gdy był głodny.

A chudy był teraz i mizerny. Włos leciał, miejscami świeciła goła skóra, snać widome znaki walki o wdzięki płci pięknej.

Aż tu pewnego dnia, gdy szedł znów jak codziennie, na polowanie, spotkał człowieka.

---

i z „gęstą" miną w wygodnym przedziale II klasy, tak zwanego Wiedeńskiego pociągu pośpiesznego, który niósł mnie wśród wysrebrzonych śniegami pól na łowy.

— — — — — — — — — — — — —

W „moim" przedziale siedziały jeszcze trzy osoby — dwóch panów, na których nie zwróciłem uwagi i młodziutka blondyneczka, na którą „raczyłem" zwrócić uwagę, i z którą za chwilę, rozmawiałem już na dobre — rojąc w duszy — ot zwyczajnie młody — najśmielsze przypuszczenia i plany.

Górne projekty mych młodzieńczych marzeń rozwiała jednak wkrótce szara rzeczywistość, — pociąg zaczął zwalniać, ostro zagwizdał — zamajaczyły dumne forty „der Festung Przemyśl", a w kilka chwil potem stanęliśmy na dworcu w Przemyślu i miła blondyneczka wysiadła, po serdecznem ze mną pożegnaniu.

Nie spotkałem jej więcej w życiu. — Za chwilę pociąg mknął dalej, a ja zdrzemnąłem się troszkę. — Przyśnił mi się wtedy dumny Uniwersytet Lwowski — poważni profesorowie: Balzer, Halban, Koschembow-Łyskowski, Chlamtacz, Abraham, Janowicz i inni — zobaczyłem się wśród kolegów i koleżanek, — „gęsią skórkę" wywołało wspomnienie egzaminu prawno-historycznego i przyśniło mi się oczywiście, że przy tym egzaminie przepadam, — że ten egzamin „ryję".

Zły sen dobra tym razem przerwała rzeczywistość — konduktor wielkim głosem oznajmił właśnie „Łańcut", świetną siedzibę Potockich — a więc za chwilę Rzeszów, cel mej podróży, — podróży na łowy.

Na dworcu w Rzeszowie nastrój już zupełnie swojski i oczywiście łowiecki. — Dobrze mi znany numerowy uprzejmie donosi, odbierając moje liczne kufry i toboły, że konie z Rudnej czekają na stacji. Za ćwierć sekundy zjawia się mój strzelec i stając na baczność, melduje mi służbowo, że konie są, że pan leśniczy dostał mój telegram, że wszystko w lesie już prawie gotowe, że stanowiska się kończy, że w pokojach niezamieszkanego domu ustawicznie się pali, aby panom ciepło było". — Słuchając jednem uchem tych meldunków, które mi jeszcze mój Staszek niejednokrotnie przed nocą powtórzy — zdążam do koni, odbierając po drodze życzliwe ukłony różnych c. k. funkcjonarjuszy kolejowych, żydów i inteligentów. Tak dawniej bywało! — Za chwilę jadę już ostrym kłu-

Gajowy od dłuższego czasu tropił złodzieja kur i kaczek. Dziś spotkał się z nim i dobrał się do jego skóry.

Padł strzał.

Mykita, podrzucony w górę, padł na posłanie z mchu, martwy, z wywieszonym jęzorem. Drgnął parę razy, nóżkami rzucił, kiwnął kitą i skończył swój złodziejski żywot. — Takie to było życie Mykity, takie jest i będzie życie wszystkich lisów.



Prof. Inż. ANTONI DYK

Łowne ptaki grzebiące

Artykułem niniejszym pragnę zapoznać czytelnika z nowoczesną klasyfikacją naszych ptaków łownych — opierając się na dziele Dra P. Harberta „Die Vögel der palacarktischen Fauna" — Berlin 1921/2.

Słownictwo używane w czasopismach i dziełach łowieckich jest bądź przestarzałe, bądź niejasne i niejednolite, toteż uważam za wskazane wprowadzenie w niem pewnego systemu, prosząc pp. myśliwych i przyrodników o łaskawe wprowadzenie poprawek i uzupełnień.

Grupa: Galli s. Rasores. Ptaki kurowate, czyli grzebiące. Z grupy tej obchodzą nas jedynie dwa rodzaje: Tetraonidae i Phasianidae.

Rodzaj: Tetraonidae — cietrzewie. Cechy rodzajowe: nozdrza okryte pierzem, palce opierzone, biegi całkowicie, lub częściowo opierzone.

W Europie żyją następujące rodziny, należące do tego rodzaju:

Lagopus — pardwa z 16 piórami w wachlarzu;

Lyrurus — cietrzew z 18 piórami w wachlarzu;

Tetrao — głuszec z 18 piórami w wachlarzu;

Tetrastes — jarząbek z 16 piórami w wachlarzu.

Jarząbka dzieli Harbert na dwie modyfikacje — a mianowicie:

Tetrastes bonasia bonasia L. — jarząbek północno-europejski — i

Tetrastes bonasia rupestris Brehm — jarząbek środkowo-europejski.

Obie modyfikacje są do siebie podobne, kogutki mają gardło czarne z szeroką białą oblamką, kurki — gardło białe, miejscami nakrapiane. Różnica polega na tem, że u odmiany środkowoeuropejskiej przeważa zabarwienie upierzenia rdzawo brunatne, nadto głowa i szyja są więcej brunatne, niż u odmiany północnej.

Rodzaj: Phasianidae — bażantowate:

Cechy charakterystyczne: nozdrza gołe, biegi nieopierzone, palce gładkie.

Harbert wymienia 21 rodzin, z których nas obchodzą jedynie następujące:

rodzina Perdix — kuropatwa z 18 (wyjątkowo tylko 16) piórami w ogonie,

rodzina Coturnix — przepiórka z 12 (wyj. 10) piórami w ogonie,

rodzina Phasianus — bażant właściwy z 18 piórami w ogonie,

rodzina Syrmaticus — bażant królewski z 16 piórami w ogonie,

rodzina Chrysolophus — bażant obrączkowy z 18 piórami w ogonie.

Z tych to rodzin, jako ptaki łowne, mają znaczenie dla nas tylko niektóre odmiany kuropatwy, przepiórki i ba-

---

sem przez Staromieście i Miłocin do Rudnej, — serce marzy o przyszłych łowach, myślę o przyszłych trofeach łowieckich, planuję różne polowania na skrzydlatą, czworonożną a także na tę najmilszą dla młodych myśliwych „dwunożną zwierzynę" — słowem jestem szczęśliwy.

Podróż się kończy prawie błyskawicznie — widzę już Rudnę — zajeżdżam do dworu przez tak dobrze mi znaną starą aleję lipową — „migają dwa, trzy, cztery światła — ktoś czeka we dworze — kochają i tęsknią w tym kraju" (Józef Weyssenhoff — Soból i panna).

Na ganek wybiega wierny nasz przyjaciel stary służący ś. p. Andrzej Piech i jakiś chłopak kredensowy — krótkie, serdeczne, szczere powitanie i już siedzę przy zakrapianej świetną starką kolacji — samowar dymi — jest mi tak dobrze, jak tylko może być młodemu myśliwemu na świecie.

Podczas kolacji oczywiście rozmowa z poczciwym Andrzejem, który usługując mi, ciągle się dopytuje o moją rodzinę, o moje nauki i o „zdrowieczko".

Oczy kleją się do snu — idę na spoczynek — strzelec Staszek coś mi jeszcze raportuje, coś opowiada — zasypiam, słysząc jakieś jego ostatnie o zającach meldunki i zaraz zaczyna mi się śnić las, myśliwi, nagonka, polowanie — jestem już w kniei — nawet w snach poluję. —

— — — — — — — — — — — — —

Skoro świt, wstałem i pojechałem do lasu skontrolować stanowiska i wydać ostatnie zarządzenia przed polowaniem, które się miało odbyć następnego dnia.

Nie sposób opisać, jak byłem wtedy szczęśliwy, jakie uczucia przeżywałem, jeżdżąc po lesie w towarzystwie ś. p. leśniczego Karczyńskiego. — Na każdym kroku miałem już wspomnienia łowieckie. Tu na podchodzie ładnego rogacza strzeliłem — tu na ostatniem polowaniu zrobiłem dublet do zajęcy, tu spudłowałem do słonki — tam znowu bezskutecznie podjeżdżałem fenomenalnego kozła — tu ładnego położyłem lisa.

Wtedy te wspomnienia były świeże, jasne, żywe — dziś przypominają mi je stare karty mego łowieckiego dziennika.

Gdy wieczorem powróciłem do domu, zastałem kilka depesz, niesłychanie deprymujących dla młodego gospodarza, że ci a ci myśliwi nie mogą przybyć na moje polowanie. — Między innymi donoszą mi, że nie mogą

żanta. Pozostałe, to ptaki dekoracyjne, chowane na wolności próbnie, lub doświadczalnie, z których jedyny bażant królewski poczyna się aklimatyzować.

Pomijając odmiany kuropatw i przepiórek, zajmę uwagę czytelnika, jedynie bażantem. — Rodzina: Phasianus — bażant właściwy.

Cechuje go uderzająca różnica płci — przepych szaty koguciej, a skromność — kurzej — tak dalece, że trudno znaleść różnicę między kurami różnych odmian. Kogut ma po bokach tylnej części głowy prężliwe, w roznamiętnieniu czerwieniejące brodawki, nad niemi zaś kępki dłuższych piórek podnośnych, tak zwane po myśliwsku „rożki“. — Ostrogi mają tylko koguty, co stanowi jedyny sprawdzian, czy dany okaz jest kogutem — czy „kogucicą“, t. j. starą, jałową kurą, chronicznie niepłodną, upierzoną po koguciemu. — Koło oka posiada kogut małą łysinkę, pokrytą puchem, który jerzy się w roznamiętnieniu miłosnem, tworząc t. zw. pączki. (U cietrzewiowatych — nazywamy je „różami“). Bażant właściwy wypierza się już w pierwszej jesieni.

Harbert wymienia 36 odmian bażanta właściwego, dzieląc je na 2 gatunki, a mianowicie: Phasianus colchicus z 32 odmianami i Phasianus versicolor z 4 odmianami.

Różnicowanie tych odmian jest rzeczą niezmiernie trudną, różnice bowiem stają się prawie nieuchwytne, skutkiem przypadkowego i umyślnego krzyżowania, tak, że w łowiskach europejskich znalezienie typów czystych, jest niemal wykluczone.

Najstarszym, już w średnich wiekach znanym bażantem, jest europejski bażant pospolity, czyli kolchicki, Ph. colchicus colch. L., hodowany w czystości rasy od bardzo dawna w Czechach, stąd też potocznie zwany bażantem czeskim.

Skrzyżowanie tej szlachetnej rasy z innemi odmianami, szczególnie z obrączkowanemi z Azji wschodniej — nastąpiło w zachodniej Europie, głównie w Anglji, gdzie podobne eksperymenty są bardzo chętnie robione z pobudek tak hodowlanych, jak eksportowych. Chodziło tu Anglikom o wyprodukowanie bażanta wysoko i ostro ciągnącego, są bowiem w pierwszym rzędzie sportsmenami, a potem dopiero myśliwymi, przekładającymi jak wiadomo strzał pewny — etyczny nad efektowny — kilometrowy.

Pierwiastkowa czystość odmiany czeskiej naruszoną została importem mieszańców z zachodu, głównie zaś jaj nasadowych. Kiedy się to stało — trudno określić. Przypuszczam, że w XIX stuleciu, na starych bowiem obrazach z XVIII w. jeszcze bażantów obrączkowanych nie znalazłem. Na tem zanieczyszczeniu starej rasy bynajmniej nie wyszliśmy dobrze, odpowiadała ona bowiem w zupełności tak naszym warunkom klimatycznym, jak i gustowi naszych myśliwych, czego dowodem coraz częstsze nawoływania do przywrócenia dawnej czystości gatunku, aczkolwiek jest to niezmiernie trudnem wobec nadzwyczajnej skłonności bażantów do krzyżowania się nie tylko z innemi odmianami, lecz nawet z krewniakami kurowatymi.

Ścisłe określenie jakiejkolwiek odmiany, stało się dziś prawie niemożliwem, ponieważ bażant wytwarza odmiany geograficzne, a niema ani jednego muzeum, któreby posiadało potrzebne do określeń serje okazów czystych. Toteż i dzieło Harberta — nieznaczną posiada wartość realną dla praktyka. (Dok. nast.).



---

w polowaniu wziąć udziału mój wuj ś. p. Stanisław Jędrzejowicz z Jasionki i niezapomniany ś. p. Dr. Tadeusz Sołowij ze Lwowa.

Smutne myśli przerwało przybycie pierwszych towarzyszy łowów. — Ze Lwowa przybył mój kolega i przyjaciel Franciszek Ścibor-Rylski, a z Rudnika nad Sanem ś. p. Nadleśniczy Leischner. — Na kolację przyjechał z leśnictwa ś. p. leśniczy Karczyński.

Reszta myśliwych miała przyjechać wcześnie rano — bo na godzinę pół do ósmej, był wyznaczony wyjazd do lasu.

Przy kolacji i przez cały wieczór łowiecka się naturalnie toczyła rozmowa. — Rylski przeplatał ją świetnemi dowcipami — dobrze mu sekundował opowiadając doskonałe anegdoty wiedeńskie ś. p. Nadleśniczy Leischner.

Ja niepokoiłem się trochę brakiem wiadomości od niektórych myśliwych, czy przybędą na jutrzejsze polowanie i jak to polowanie się uda. Rylski i Leischner trochę mi dokuczali, że tak w ostatniej chwili wysyłam zaproszenia — trochę pocieszali poczciwie.

— — — — — — — — — — — — — —

O godzinie szóstej minut trzydzieści rano, raźna pobudka zagrana na trąbkach łowieckich, obudziła moich gości. — Ja już dawno byłem na nogach i z drżeniem serca oczekiwałem przybycia myśliwych. — O trzy na siódmą zajechał parą swoich kapitalnych paradjerów ś. p. Wiktor Woyciechowski z Dąbrowy wraz z Kazimierzem Jędrzejowiczem a w chwilę później, czwórka lotnych a fenomenalnie dobranych jukierów, przywiozła mego wuja ś. p. Marjana Jędrzejowicza z Dylągówki i jego córkę Adę — która wtedy była przemiłym podlotkiem, zaczynającym swą łowiecką karjerę.

Wiele, wiele razy polował potem u mnie ś. p. Marjan Jędrzejowicz i ja wiele razy zaznałem gościnności w jego uroczej Dylągówce. Także z jego córką Adą, późniejszą Kazimierzową Dąmbską, spotkaliśmy się niejednokrotnie w służbie Świętego Huberta.

Aż strach pomyśleć, że ta biedna osoba już nie żyje. Dnia 26 lutego 1934 roku, umarła tragiczną śmiercią ś. p. Anna z Jędrzejewiczów Dąmbska, pracując prawie do ostatniej życia chwili dla swoich synków i dla swojej Dylągówki. — Smutne to i bolesne — ale wtedy było nam w Rudnej wesoło; — bo jak mogło nie być wesoło tam, gdzie zjawiał się ś. p. Marjan Jędrzejowicz, ten najmilszy





Wieniec jelenia o 26 odnogach, znaleziony w lipcu 1934 w rzece Prośnie, w majątku Jedlcu (woj. poznańskie, wł. hr. Stefanowej Zamoyskiej).

Waga 13,50 kg. Długość pni 106,5, 107 cm, ropiętość 105 cm, obwód róż 30, 28,5 cm, grubość pni 22, 22 cm.

Bardzo często, jak nam donosi Stefan hr. Zamoyski, napotyka się w tej rzece szczątki jeleni. W r. 1931 wydobyto z niej też piękny bardzo wieniec. Wśród iłu i piasku znajdują się często kości i odłamy rogów, leżą one wśród pięknych nienaruszonych pni prastarych dębów, pogrzebanych świadków minionej świetności dawnej puszczy.

i najserdeczniejszy z ludzi, fenomenalnie swobodny i uprzejmy człowiek, który był uosobieniem pogody, optymizmu i humoru. Dlatego był tak nieocenionym dla nas towarzyszem!

— — — — — — — — — — — — —

Punktualnie o godzinie pół do ósmej rano wyruszyliśmy do lasu. Tam polowaliśmy w 8 strzelb, a polowanie szło składnie, prowadzone znakomicie przez ś. p. leśniczego Aleksandra Karczyńskiego.

Gdy kilka godzin minęło tego zbożnego trudu, wesoły sygnał zatrąbiono na śniadanie. — Każdy kto w kniejach polskich polował w swem życiu wie, jaki urok ma łowieckie śniadanie w głębiach boru, gdzie przy rozpalonem ognisku, wśród dymów jałowcowych i pobrzęku naczyń, opowiadaniom i świetnym dowcipom zda się nie będzie końca, gdzie każdy z łowców ma coś ciekawego i arcyważnego do zapodania drogim towarzyszom, gdzie się oblicza osiągnięte już wyniki, — gdzie rosną nadzieje spełnienia nowych, walecznych czynów przed nocą.

Pożółkłe karty mego dziennika łowieckiego mówią, że przy śniadaniu bawiono się ochoczo, że potem dalej polowano dzielnie, — że wieczór po polowaniu spędzono w starych, gościnnych murach Rudzieńskiego dworu.

— — — — — — — — — — — — —

Z ośmiu myśliwych, którzy dnia 11 grudnia 1909 roku brali udział w polowaniu w Rudnej pięciu śpi już snem wiecznym.

Minęły zdaje się bezpowrotnie beztroskie dni naszych ówczesnych polowań — ale choć rzeczywistość teraz nie smutna — cudne mamy wspomnienia.

O najpiękniejszych mówią pożółkłe dziennika łowieckiego karty.



NOTATKI BIBLJOGRAFICZNE

LEON XIĄŻĘ SAPIEHA: WULKANY KIVU

Wspomnienia z podróży

Kraków, druk L. Anczyca, 1934, in 4-to, str. 236, ilustracyj 139, w tem 4 mapy, nadto rycina okładkowa: popiersie goryla. Skład główny: Gebethner i Wolff.

Jeszcze nie przebrzmiały były echa śmiałej wyprawy księcia Leona Sapiehy i jego małżonki do Afryki w latach 1926/27 i nie wszyscy mieli czas nasycić się drukowanemi o tej wyprawie wspomnieniami pod egzotycznym tytułem „Lasy Ituri"[1]), gdy rozeszła się wieść o ponownem wyruszeniu księstwa wgłąb czarnego lądu. Tym razem cel wyprawy był odmienny. Odmienny najpierw pod względem myśliwskim. Zwierzęciem, około którego obracały się poprzednie przygody, był słoń. Obecnie miał to być bawół, a obok niego — co najważniejsze — goryl. Pozatem jednak intencją księcia Sapiehy było zagospodarowanie się w Afryce: ściślej mówiąc, założenie własnych plantacyj na terenach nabytych, względnie wydzierżawionych. Myśl ta nie dawała spokoju księciu Leonowi od dawna. Do jej realizacji przyczyniły się niewątpliwie spostrzeżenia, poczynione w czasie pierwszej wyprawy, a przedewszystkiem zetknięcie się z dwoma Polakami (Hartingh i Rudziński), którzy z nadzwyczajnem powodzeniem założyli byli w Congo plantacje kawy. Odpowiednio do tego szerokiego programu i wyprawa ponowna była o wiele dłuższą od poprzedniej. Stanąwszy na lądzie afrykańskim dnia 13 grudnia 1928, opuścił go książę Sapieha dopiero 15 kwietnia 1930. A jakkolwiek poczynione w tym czasie notatki leżały przez szereg lat w rękopisie, — książka bowiem wyszła drukiem dopiero po sześciu latach — rzecz nie traci na aktualności ze względu na kapitalną wartość, jaką przedstawia z najrozmaitszego punktu widzenia.

Ustępy, poświęcone sprawie pozyskania terenów pod plantacje (uwieńczonej powodzeniem, aczkolwiek nie bez trudności), należą do tem ciekawszych, że problemat kolonjalny stał się, jak wiadomo, w odrodzonej Polsce przedmiotem ogólnopaństwowego zainteresowania. Ze sprawą tą łączy się całe mnóstwo podanych przez autora i nieraz wprost rewelacyjnych wiadomości geograficznych, geologicznych, klimatologicznych, etnograficznych, ba, nawet epidemiologicznych, niemówiąc już o ściśle przyrodniczych, stanowiących bardzo ciekawe tło przygód, interesujących nas w tej chwili przedewszystkiem, to znaczy przygód myśliwskich.

Rezultat myśliwski jest imponujący. Osiągnięto go w dwóch zasadniczych etapach: nad jeziorem Edwarda i nad jeziorem Kivu. Głównem trofeum z pierwszego etapu, były rogi bawole, w liczbie ośmnastu, wśród nich rogi o największej rozpiętości 111 cm. Na uwagę zasługują przy tej sposobności spostrzeżenia autora o użytej na bawoły broni. Okazało się mianowicie, że zarówno sztucer podwójny 9,3 mm, jak i Rigby Mauser 9,3 mm, nie była to broń wystarczająca przy strzale „na komorę". Toteż parę sztuk, z początku zwłaszcza, przepadło. Skutecznym doraźnie był jedynie strzał w łeb, bo wtedy kula półplaszczowa wszystko przebija i byle zaczepiła o ważne ośrodki mózgowo-rdzeniowe, kładzie zwierza na miejscu. Ale za to — podnosi książę — strzał w łeb jest trudniejszy i wymaga bliższego podejścia, dlategoteż na duże bawoły trzeba używać kal. 450, bo taka broń pewniej zabija, a zatem i większą daje rękojmię bezpieczeństwa.

Z głównych terenów bawolich posuwał się książę Sapieha ku południowi, a przekroczywszy niesłychanie ciekawe pasmo wulkanów Kivu, znalazł się w sąsiedztwie jeziora tegoż imienia, na wyżynie, będącej ojczyzną Goryla wysokogórskiego (Gorilla beringei), różniącego się w szczegółach od goryla nizinnego i jego odmian. Uderzająca jest zwłaszcza cecha, odznaczająca dorosłe samce Goryla górskiego, a mianowicie srebrzystobiały pas wzdłuż grzbietu, zachodzący na boki na kształt jasnego siodła. Mając prawo ubić tylko jedną sztukę, manewrował książę Sapieha w ten sposób, ażeby ta sztuka warta była zachodu. Nie będę tu powtarzał dramatycznej sceny położenia strzałem w skroń wspaniałego samca. Opis ten należy przeczytać w oryginale — wszakże podobnego dotychczas nie było w naszej literaturze. A kto chce obejrzeć tego goryla, znajdzie go w Państwowem Muzeum zoologicznem w Warszawie, któremu został ofiarowany po mistrzowskiem wypchaniu u Warda w Londynie. Niezwykły nabytek ten jest opisany przez prof. Domaniewskiego[2]), z dodatkiem wielu ciekawych wiadomości z historji naturalnej goryla i jego zwyczajów.

Do najcenniejszych zdobyczy z każdej podróży w dalekie, mało znane, lub nieznane kraje, należą zawsze zdjęcia fotograficzne, nabierające nieraz znaczenia dokumentu. W takie zdjęcia obfituje książka księcia Sapiehy. Wartość ich wzrasta jeszcze przez to, że są to przeważnie fragmenty z taśmy filmowej, przedstawiającej w danym razie wszystkie te grupy i sceny, ludzi i zwierzęta, w ruchu, tak jak one wyglądały w rzeczywistości. Aparat filmowy należał do nieodstępnych rekwizytów księstwa w czasie wyprawy, a więc i w czasie przeżyć myśliwskich. Jakkolwiek filmowanie zwierząt dzikich nie należy już dziś do rzeczy niezwykłych, to jednak można sobie wyobrazić, z jakiemi trudnościami połączone jest zainstalowanie i puszczenie w ruch aparatu w obliczu stada bawołów, czy goryli. Nie dziwimy się więc, jeśli autor zauważa, że w porównaniu z temi trudnościami sam strzał bywa poprostu bagatelą.

Książka wydana jest pięknie i suto, a drukowana tak, jak tylko Anczyc drukować potrafi.

Witold Ziembicki.

[1]) Sprawozdanie o tej książce pomieściłem w „Łowcu" w r. 1928, str. 337.

[2]) Domaniewski J., Pierwszy goryl w Muzeum zoolog. w Warszawie, „Łowiec Polski", 1931, str. 203 i dalsze, z fotografją wypchanego egzemplarza.

Z powodu 30-lecia pracy literackiej Alberta Mniszka

W Nrze 1 „Łowca Polskiego" z b. r. umieścił p. Mieczysław Mniszek T c h o r z n i c k i, jeden z najruchliwszych pisarzy łowieckich młodszej generacji, pracę pod tytułem: „A l b e r t M n i s z e k — t r z y d z i e s t o l e c i e p r a c y n a n i w i e l i t e r a t u r y ł o w i e c k i e j". Autor zestawił w formie bibljograficznej cały dorobek pisarski Alberta Mniszka, dzieląc materjał na następujące grupy: a) prace większe, b) fejletony i wspomnienia myśliwskie, c) różne artykuły, d) wiersze. Część bibljograficzna poprzedzona jest wstępem, bardzo dobrze ujętym i przedstawiającym działalność Mniszka w Małopolskiem Tow. Łowieckiem, przedewszystkiem na stanowisku redaktora „Łowca", które piastuje od 7 maja 1904 r., a więc od lat z górą trzydziestu.

Rzecz, napisaną przez p. Tchorznickiego należy powitać z uznaniem, z rozmaitego punktu widzenia należnem. Najpierw dlatego, że zrobiona jest sumiennie i z umiłowaniem przedmiotu, powtóre dlatego, że jest nowym przyczykiem do bibljografji polskiego łowiectwa, wymagającej wobec ogromu materjału pracy zbiorowej, a wreszcie dlatego, że światu łowieckiemu polskiemu przypomina zasługi niepospolitego znawcy myślistwa w najlepszym stylu, jakim jest Albert Mniszek.

Należy tu wspomnieć, że praca p. Tchorznickiego zeszła się z uznaniem, jakie z tej samej okazji, t. j. z powodu 30-lecia działalności na stanowisku redaktora „Łowca" wyraził Albertowi Mniszkowi wydział Małopolskiego Tow. Łowieckiego na posiedzeniu z dnia 6 grudnia 1934.

W. Ziembicki.

Panu Andrzejowi Ba-skiemu w odpowiedzi

W artykule zatytułowanym „W obronie bociana, „Łowiec" Nr. 1 z r. 1935), uznał pan Andrzej Ba-ski za stosowne zaprzeczyć prawdzie mego powiedzenia „że gościnność bociana pozwalającego gnieździć się wróblom w swem gnieździe, trwa tylko do chwili gdy z jajek wyklują się wróbelki, które bocian swym dziobem, jak szpikulcem, wybiera i pożera".

Widocznie przeoczył pan Ba-ski ten ustęp mego artykułu (Bocian biały „Łowiec" Nr. 24 z r. 1934), w którym wyraźnie stwierdziłem, że naprowadzone tam przezemnie fakty, to nie są rzeczy, o których mi opowiadano, to nie żadna bajka, nie żaden przesąd, to rzeczywistość, stwierdzona mojemi własnemi oczyma, to niezawodna prawda".

Pan Ba-ski pisze, że jest młodym.

Wobec tego ja nie tracę nadziei, że z czasem i pan Ba-ski stwierdzi swemi oczyma, że bociany wyjadają ze swego gniazda młode wróble, a co ważniejsze, że również przyjdzie do przekonania, iż okoliczność, że się czegoś samemu nie widziało, nie daje podstawy i nie uprawnia do robienia zarzutu, że ktoś przedstawia jako prawdę fakty niezgodne z rzeczywistością.

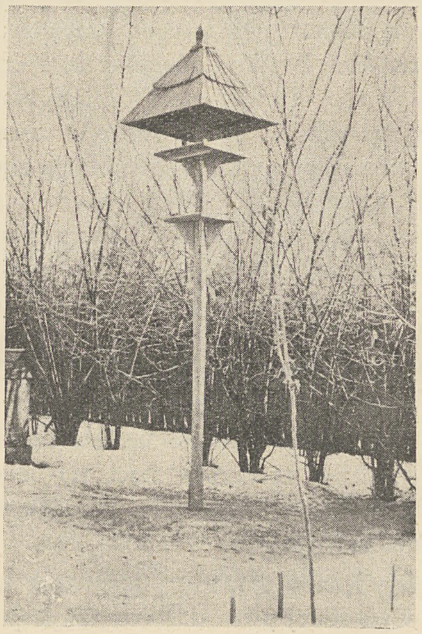
Kazimierz Wysocki

JÓZEF SIKORA

Dla ochrony ptaszków

Obowiązkiem służby leśnej, a do pewnego stopnia i polnej, powinno być nietylko czuwanie nad bezpieczeństwem lasu i pól, ale także i tępienie drapieżnej zwierzyny. — Służba ta powinna być zaopatrywana w najlepszą broń myśliwską — najlepiej strzelby — dubeltówki i dobre odpowiednie patrony.

Od czasu kiedy jednak w niektórych majątkach z obawy przed kłusownictwem służby leśnej, zaczęto uzbrajać ją tylko w rewolwery, a noszenie strzelb zakazano — zwierzyna drapieżna, której rewolwerem tępić nie można — zaczęła się rozmnażać, a przedewszystkiem jastrzębie rozmaitego gatunku i te nietylko niszczą kuropatwy, bażanty i zające, ale tępią i małe pożyteczne ptaszki leśne, owi sprzymierzeńcy leśnika, zaczynają być coraz rzadsze, a korniki po lasach coraz więcej się rozmnażają i lasy niszczą.



Karmnik dla pożytecznych ptaszków na leśnictwie w Opace p. Lubaczów.

Wspomniani sprzymierzeńcy leśni najwięcej giną zimową porą i najwięcej przez krogulca są tępieni, bo w tej porze roku są najwięcej zajęci poszukiwaniem pożywienia, mało zwracają uwagi na swoje bezpieczeństwo i stają się ofiarą drapieżnika. — Ażeby im ułatwić zdobywanie pożywienia, powinno się zakładać paśniki dla pożytecznych ptaszków i taki paśnik, jak go fotografja przedstawia, zbudowałem przed paru laty. Nadaje się bardzo do podkarmiania pożytecznych ptaszków zimową porą.

Ażeby jednak mógł dobrze spełnić swoje przeznaczenie, powinien stać przy jakiejś gęstwinie leśnej lub ogrodowej, ażeby pożyteczne ptaszki, napadnięte koło paśnika przez krogulca, lub jakiegoś innego drapieżnika, mogły się w pobliskich krzakach, lub zaroślach szybko schować.

W końcu nadmieniam, że nie uzbrojenie, lecz wrodzony charakter służby leśnej jest gwarancją jej uczciwego postępowania, — i jeżeli strażnik leśny jest kłusownikiem, to on przy uzbrojeniu tylko rewolwerem, znajdzie dosyć sposobów, ażeby mógł szlachetną zwierzynę łowną tępić.

Ś. † P.

KAROL BRAUN

notarjusz w Wieliczce, wieloletni członek Krakowskiego Oddziału M. T. Ł., delegat Towarzystwa i Polsk. Zw. Stow. Łow., zmarł 3 lutego 1935 r., przeżywszy lat 66.

Zamiłowany myśliwy - hodowca, szczery opiekun łowiectwa i przyjaciel naszego Towarzystwa, pozostawia po sobie najlepszą pamięć i serdeczny żal.

Pokój Jego zacnej duszy — cześć pamięci wiernego Towarzysza!

Ś. † P.

Dr. MARCELI PUZA

niestrudzony działacz na polu ideowego łowiectwa, długoletni delegat M. T. Ł. w powiecie mościskim, zmarł dnia 6 lutego 1935 r., w Sądowej Wiszni.

Cześć pamięci zacnego Towarzysza!

DO. PP. DELEGATÓW I CZŁONKÓW NASZYCH

zwracamy się z usilną prośbą o sprawozdania z polowań i stanu zwierzyny w ubiegłym sezonie. Delegatom naszym przypominamy obowiązek określony w regulaminie § 4. l. F., który brzmi: Delegaci są obowiązani służyć Wydziałowi żądanemi przezeń informacjami, podawać redakcji „Łowca" jak najrychlej wszelkie wiadomości o stanie zwierzyny, odbytych polowaniach i wogóle o wszystkich ważniejszych sprawach swego rejonu, względnie powiatu.

Korespondencje

Zator, w lutym 1935 r.

Na terenie Dóbr Klucza Zatorskiego, ubito w okresie od dnia 1 lutego 1934 r. do dnia 31 stycznia 1935 r. następujące ilości ptactwa i zwierzyny łownej:

Dzikich kaczek 1155, kszyków 81, bażantów 274, kuropatw 160, zajęcy 63, dzikich gęsi 3, derkaczy 1, kulonów 2, różnych 1 — razem 1740 sztuk.

Szkodników: 1 kuna leśna, 9 tchórzy, 388 łasic, 235 jastrzębi, 124 psów, 381 kotów, 215 wron, 534 srok, 64 sojek; — razem 1951 sztuk.

Doniesień karnych o kłusownictwo wygotowano w okresie sprawozdawczym 34, z czego w 24 wypadkach sprawcy zostali ukarani. Pozostałe sprawy w toku. — Strzelb skonfiskowano 15.

Polowania na zające (poza zapotrzebowaniem wyłącznie własnem) w ubiegłym sezonie nie urządzano.

Mgr. Marjan Schally.

Sprawozdanie delegackie z powiatu rzeszowskiego.

W Rzeszowie, w lutym 1935 r.

Jeśli wiosna i początek lata były u nas ciepłe i suche i sprzyjały dlatego rozmnoży drobnej zwierzyny, to natomiast w pełnem lecie i w jesieni, nawiedzały powiat poważne klęski elementarne, jak powodzie i gradobicia. Dał się tu szczególniej we znaki lipiec z fatalną datą 16, kiedy nagle cała dolina Wisłoka i doliny wszystkich jego dopływów, wypełniły się wodą po brzegi. Na rozhukanych falach rzeki płynęły wtedy nietylko snopy, kopy, stogi, ale także utopione kuropatwy, bażanty, zające, gronostaje, łasice, a nawet sarny. Wiele kuropatw i zajęcy, jeszcze żywych, acz przemoczonych i bardzo wyczerpanych, uratowano, ale i wiele z nich pogrążyło się w otchłannych nurtach groźnego żywiołu.

We wsi Jasionce zgromadziło się na małej wyniosłości, jeszcze z wody wystającej, 19 zajęcy. Gdy podjechała do nich łódź ratunkowa z ludźmi, by je pozbierać, wskoczyły wszystkie do rzeki i zginęły. W innem miejscu wyciągnięto z wody stadko kuropatw, siedzące na snopie, z pierzem przemoczonem i w stanie zupełnej depresji. Dały się wziąć łatwo rękami. Przewiezione na bezpieczne miejsce i puszczone wolno, poczęły się skubać i suszyć. Zaledwie jednak przyszły do siebie, porwały się zaraz do lotu i siadły na wystających z wody krzakach, z których, rzecz oczywista, spadły i utonęły.

Różni ludzie wyławiali często żywą zwierzynę ale w tym celu, jak łatwo tego się domyśleć, aby ją zabić i zjeść; nie gardzili także i martwą...

Duże spustoszenia wyrządziły gradobicia i nagłe, bardzo ulewne deszcze na polach, już zdala od rzeki położonych. Szczególniej wśród najmłodszego pokolenia.

Mimo żywiołowe pogromy było przecież dość jeszcze zwierzyny. Kuropatw nawet dużo, zajęcy nieco mniej, niż w roku zeszłym, ale na jakieś pokaźniejsze ubytki nikt się tutaj nie uskarżał. Wcale dobre rezultaty osiągnęli w sezonie ci myśliwi, którzy potrafili jako tako uchronić swoje łowiska przed szkodnikami ze świata zwierzęcego, a przedewszystkiem przed kłusownikami.

Tacy właściciele terenów lub dzierżawcy, jak Pp.: Stefan hr. Dąmbski, Stanisław Politalski, Jan Jędrzejowicz, Dr. Adam Midowicz, Joachim Jarochowski, Ignacy Konopka, Jan Gumiński, Stanisław Milewski, Kamil Bieniaszewski i kilku innych, uzyskali na zimowych polowaniach zadowalające wyniki, a niektórzy, jak Pan Midowicz w swoim Zgłobniu, nawet rekordowe, bo gdy 17/I. urządził nam tam polowanie, padło w dwanaście strzelb w sześciu kotłach aż 135 zajęcy i krogulec. Rezultat nigdy przedtem nie osiągany, nawet w latach pomyślnych.

Także na terenach tutejszego Towarzystwa Myśliwych, zwierzyna dobrze się spisała. W takiej naprzykład Zwięczycy, ubito w dniu 31/XII w 17 strzelb: 104 zajęcy, 11 bażantów, 1 lisa i krogulca. Jeszcze lepiej wypadło polne polowanie w Niechobrzu w dniu 12/I, w 5 strzelb strzeliliśmy tam 80 zajęcy. Opolowało się zaledwie połowę terenu. Zające uciekały masowo bez strzału, przedzierając się przez nagonkę, której wypadało po 12 ludzi na jednego strzelca.

Przybyszówka natomiast, słynąca z obfitości zajęcy, gdzie przed kilku laty padło po jednym dniu 375 sztuk, nie dopisała w tym sezonie zupełnie. Na polowaniu dnia 22/XII ub. r., znalazło się na pokocie w 17 strzelb zaledwie 125 zajęcy. Dekadencja zwierzostanu uwidacznia się tam zbyt rażąco.

Na wszystkich polowaniach stwierdziliśmy z zadowoleniem, że zające były na ogół zdrowe i dobrze wyrośnięte. Zamotyliczonych był znikomy procent, aczkolwiek zdarzały się sporadyczne wypadki tej niebezpiecznej choroby.

Zwierzostan sarni jest u nas jeszcze ciągle słaby. Jeleni dużo, zwłaszcza w Bratkowicach, gdzie mają swoją ostoję. Ryczały we wrześniu wcale dobrze, dając pożądaną sposobność wybranym łowcom do spotkań.

Dzików u nas prawie niema.

Władysław Gürtler, delegat.

—o—

Donosimy, że w obwodzie wspólnym Porzecze Lubieńskie pow. Gródek Jagielloński, strzelił p. Jan Maceluch na polu w miesiącu styczniu b. r. zająca, zaopatrzonego w kulczyk z literami A D I V—41231.

Ewentualną wiadomość, przez kogo i gdzie zające były tak oznaczone, prosimy skierować do naszej redakcji.

—o—

Słobódka Str., luty 1935 r.

Dnia 16 stycznia 1935, polowaliśmy w Liczkowcach p. Emila Kimmelmanna. Przy fatalnej pogodzie w 12 strzelb, ubiliśmy 50 zajęcy. Królował inż. Zienkowicz Bohdan, mając 11 zajęcy.

Dnia 30 stycznia 1935, polowaliśmy w lesie Młyniska Piotra hr. Borkowskiego. Przy pięknej pogodzie w 17 strzelb, ubiliśmy 200 zajęcy i 2 lisy w dziewięciu miotach. Królował inż. Zienkowicz Bohdan, mając 31 zajęcy. Polowanie jak zawsze doskonale prowadził p. dyr. R. Załanowski. B. Z.

—o—

Dnia 12 lutego b. r. odbyło się polowanie na dziki w Bukówne. Polowano w 3 strzelby i zabito 8 dzików, z tych p. Józef Bochdan zabił 5 (2 dublety). — Polowanie doskonale prowadzone przez gospodarza p. Andrzeja Komornickiego. T. S.

Koropiec n/Dniestrem, 25 lutego 1935.

Rozkład tegorocznych zimowych polowań w Koropcu nad Dniestrem, dobrach hr. Stefana Badeniego, wynosił: 13 dzików, 9 lisów, 134 zajęcy, 1 jastrząb gołębiarz. — W dniach 12—14 lutego padło w 3 strzelby 12 dzików, 1 lis, oraz 1 jastrząb gołębiarz, zabity kulą w locie.

Rzemień, w lutym 1935.

W dniach 16 i 17 stycznia, odbyło się polowanie w Tarnawce i Żuklinie u p. Witolda Kellermanna w pow. przeworskim. Pierwszego dnia w lesie Tarnawka-Hussów w 9 strzelb padło: 6 dzików, 5 zajęcy i jarząbek, drugiego dnia w Żuklinie w polu: 111 zajęcy.

A. Szaszkiewicz.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE Z POSIEDZENIA WYDZIAŁU odbytego w dniu 12 lutego 1935.

Przewodniczył Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: W. Garapich, Dr. St. Gajewski, Z. Gronziewicz, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz, inż. T. Sroczyński i Dr. W. Ziembicki, tudzież zastępcy: St. Jaśkiewicz i inż. Z. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili W. hr. Gołuchowski i A. hr. Starzeński.

Na czoło obrad wysunęła się sprawa odbytego w dniu 2 b. m. zebrania delegatów Towarzystwa. Rzucone na tem zebraniu myśli i podniesione na niem dezyderaty, były przedmiotem żywej dyskusji, w rezultacie której postanowiono dążyć do bezzwłocznego a należytego zorganizowania Delegatów we wszystkich powiatach. W tym celu otrzymają w najbliższym czasie wszyscy delegaci, w kontakcie z Towarzystwem dotąd pozostający, wykazy członków i delegatów, w odnośnym powiecie mieszkających, przy zapodaniu także stanu zaległości każdej osoby w wykazie zamieszczonej. Delegaci zawezwani zostaną, by się w ciągu dwu miesięcy zorganizowali w prawidłowo fungujące delegatury, dzieląc między siebie powiat na okręgi delegackie i wybierając z pomiędzy siebie senjora delegatów. Zorganizowanie każdej delegatury przy naprowadzeniu pisemnem powyższych szczegółów organizacyjnych, ma być podane Wydziałowi do wiadomości. Nadto delegaci winni współpracować z Wydziałem, a mianowicie pomagać mu w ściągnięciu zaległości, do czego mają nakłaniać wiadomych sobie restantów przy każdem nadarzającem się zetknięciu. Delegaci mają też starać się usilnie o przysparzanie Towarzystwu nowych członków. Wydział ze swej strony podwoi, o ile możności starania o ściągnięcie zaległości i będzie dbać o regularne otrzymywanie wkładek bieżących, używając w tym celu także tych sposobów, których zastosowania doradzali niektórzy uczestnicy zebrania (mandaty pocztowe).

Mandaty delegatów, którzy nie utrzymują kontaktu z Wydziałem, zostaną w najbliższym czasie cofnięte.

Stwierdzono, że akcja wciągnięcia delegatów do żywszej z Wydziałem współpracy podjęta w grudniu, wydała już dodatnie rezultaty, co się objawiło w przybywaniu nowych członków i pilniejszem płaceniu wkładek bieżących, a nawet w spłatach dawniejszych zaległości.

Na prośbę Oddziału Krakowskiego postanowiono zatrzymać czasowo i nadal ustanowiony w r. 1934 klucz rozdziału wkładek należnych od członków temu Oddziałowi podległych, a to aż do poprawienia się stosunków finansowych Oddziału, nie dłużej jednak, jak do czasu spodziewanego wkrótce częstszego wydawania organu Towarzystwa.

Delegatami zamianowano: Adama hr. Bielskiego w pow. drohobyckim, Michała Gasparskiego w pow. horodeńskim i Stefana Rylskiego w pow. radziechowskim.

W poczet członków zostali przyjęci: Emil hr. Baworowski, Jan Biliński, Franciszek Biesiadecki, Ksawery hr. Krasicki, Aleksander br. Lago, Stanisław Łazarewicz, Stanisław Mniszek, Ludwik Myszkowski, Jan Nodzyński, Dr. Tytus Nowak, Dr. Janusz Pieniążek, Franciszek Rozwadowski, Franciszek Skóra, Erazm Tuszowski, Antoni Tyszkowski, Stanisław Wink i Dr. Jan Zaczek.

—o—

W sprawie zasilenia okolic nawiedzonych klęską powodzi świeżą zwierzyną, oznajmiamy zainteresowanym hodowcom-myśliwym, że wszelka akcja tego rodzaju w obecnej porze roku jest niemożliwą. Kuropatw i zajęcy w porze wiosennej wyłapywać nie można. — Przy dobrej woli właścicieli łowisk z innych okolic, da się ona przeprowadzić w jesieni.

TREŚĆ NUMERU 3:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32